OGNIWO

Wychodzi dwa razy na miesiąc każdego 1go i 16go. — Prenumerata bez przesyłki pocztowej: całorocznie 5 złr. półrocznie 2 złr. 50 ct., kwartalnie 1 złr. 25 ct. w. a. — Z przesyłką pocztową: całorocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct. w. a. — Prenumeratę przyjmują: redakcya pod l. 744 (dom Prunkułów) 1sze piętro i wszystkie księgarnie.

Nr. 1. Czerniowce dnia 1 lipca 1869. **Rok. I.**

Słowo wstępne.

W imię Boże rozpoczynamy nasze wydawnictwo, a rozpoczynamy je śród wrogich nam żywiołów, okoleni zewsząd niechętnymi naszej pracy i naszym dążnościom; przekonani o potrzebie posiewu słowa polskiego tam, gdzie jeszcze przyjaznych nam i gorąco bijących serc nie braknie — ufni w braterską łączność i poparcie naszych usiłowań — choćby tylko wśród tej małej garstki Rodaków, którzy żyjąc na kresach ojczystej naszej ziemi, nie wyrzekli się cnót i skarbów narodowego poczucia po swoich przodkach odziedziczonych. Potrzebę tej pracy naszej niech wytłumaczą anormalne stosunki wychowania publicznego na Bukowinie, niedozwalające kształcić polskim rodzicom dzieci swoich w duchu narodowym — narzucona nam opieka nieswojskiej cywilizacyi i objawiająca się tu i owdzie obojętność dla piśmiennictwa ojczystego — podtrzymywana nieprzyjaznym duchem publicystyki niemieckiej. — Cel i dążność naszą streści w jednem słowie nazwa naszego pisma **«Ogniwo.»**

«Ogniwo» zamieszczać będzie: obrazki i szkice, utwory dramatyczne, poezye, rozprawy historyczne, literackie i artystyczne, kronikę miejscową, korespondencye, rozmaitości, zapiski bibliograficzne i rolniczo — przemysłowe.

Redakcya.

OBRAZKI Z POKUCIA.

I.

Pan prezes.

— Ależ Panie Dobrodzieju! krzywdęście panu Fabrycyuszowi wyrządzili, cały powiat zna jego zasługi i wyłączne zdolności do pomyślnego rozwijania świeżo zawiązanego stowarzyszenia; czemużeście go prezesem nie wybrali? On się obrazi — bo chociaż daliście mu wprawdzie jakąś tam godność, to jemu ubliża... Jemu się należy prezesostwo — on tylko godzien być prezesem. Zobaczycie panowie, ile stowarzyszenie na tem ucierpi. Zawsze to był z waszej strony krok nierozważny. Nie mam ja nic przeciw obranemu prezesowi, ale powiadam wam, żeście wielkie głupstwo zrobili nie obierając pana Fabrycyusza. On wam teraz nic robić nie będzie. Zniechęcony, rozżalony, czuje naturalnie swoję krzywdę — źle, źle się bardzo stało.

Tyle wypowiedział naraz, jednym tchem prawie pan Konstanty, posiadający wielki mir w powiecie, i będący mniejszą już o to z jakich tam względów i względzików — trąbą sławy pana Fabrycyusza, gardłujący za nim wszędzie i zawsze, nieuznający z zasady nikogo i nic ponad swoim mecenasem, a człowiek mimo to młody i przystojny, trochę dowcipny, mniej wymowny, nieco wykształcony, nie źle wychowany, ale jednostronny i krótkowidz... Badacz ludzi nie tęgi. W studyowaniu pana Fabrycyusza, dostrzegł wszystkie cnoty, nie dostrzegł ani jednej słabostki, których przecie sam pan Fabrycyusz się nie wyprze, nie dostrzegł

przedewszystkiem słabostki najniebezpieczniejszej, bo chęci prezesowania w stowarzyszeniach. Nie dostrzegł zaś dla tego, bo na oczy swoje nie wdział jeszcze szkieł homeopatycznej dyagnostyki... tj: nie marzy jeszcze o prezesostwie, nie może więc dostrzedz tego marzenia w drugich a zwłaszcza w swoim ideale... A na ideał ten jego w samej już obronie pana Konstantego pada największy zarzut. ›On wam teraz nic robić nie będzie‹ powiada obrońca pana Fabrycyusza... a powyżej mówił, że ten Fabrycyusz ma wrodzony talent do podobnej roboty. Jestże to obywatelska cnota? usuwać się od podniesienia stowarzyszeń z tak pewnemi w skutki siłami, dlatego, że tych sił nie oprezesowano? Nie jestże to samolubstwem zbrodniczem? —

— ›Ja mam środki do poratowania upadającej ojczyzny... ale wam ich nie wskażę, boście nie mnie obrali prezesem!‹ To są prawie też same słowa co obrona pana Konstantego. Ile w nich cnoty i miłości, ile poświęcenia się dla dobra sprawy ojczystej, zgadnie i widzi każdy.

Inaczéj na tę rzecz zapatruje ›się pan Sylwester... prezes czterech czy pięciu stowarzyszeń, zawiązanych przez siebie i istniejących dla niego. Ten odrazu powiedział, że się stowarzyszenie nie uda, raz dla tego samego, co utrzymuje pan Konstanty, tj. dla tego, że obrano prezesem pana Filipa, ale powtóre i dla tego także, czego krótkowidz pan Konstanty nie dostrzegł, że pan Fabrycyusz zdradził ochotę zostania prezesem. Ta myśl powstała w głowie drugiej... nie pierwszej... (pierwszą jest głowa prezesa czterech stowarzyszeń) jest zarodem śmierci stowarzenia. ›Pięknie to, bardzo ślicznie (sic) mówi pan Sylwester, ale zobaczycie panowie, czy co z tego będzie. *Utinam sim falsus vatus (sic)*‹ mówił koszlawiąc łacinę uśmiechający się najprzystojniejszy prezes ze wszystkich prezesów na Pokuciu, ›ale maluczko a ujrzycie ruinę tego stowarzyszenia... Dobrze, że nie obrali Fabrycyusza — no! bo ten na prezesa, tak jak ja na poetę dramatycznego... (na poetę bowiem lirycznego był już pan Sylwester pasowany stoma rymami, niedrukowanymi wprawdzie, ale już dawno napisanymi...) ale cóż będziecie mieli z tego pana Filipa? To arogant, arystokrata, samolub, on nie przestanie na tem jednem prezesostwie, ale zaraz wyda herbatkę tańcującą, aby uskarbić głosy do nowego stowarzyszenia... A kto wie, o jakiem nawet marzy on prezesostwie... Ja wam powiadam! no! to dosyć!!‹ Otóż tych szkieł poglądu nie ma pan Konstanty, i dla tego mówimy, że jest jednostronny.

Ani Fabrycyuszowi, ani panu Sylwestrowi, ani nikomu tu o to nie chodzi, czy ten lub ów kandydat na prezesa posiada choćby jaką taką zdolność kierowania nowo zawiązującem się stowarzyszeniem, czy zna jego potrzeby, czy przynajmniej cały statut jego raczył przeczytać (choćby nie zrozumieć) czy czuje ważność swego przyszłego stanowiska, czy daje rękojmię w czemkolwiek, że mu odpowie,... o to nikt się nie pyta.

Szczęśliwa nadeszła moda: zawiązujmy stowarzyszenia! Dobra to rzecz, bo można być tanim kosztem prezesem... można być wydrukowanym w gazecie, i być podpisanym na długiem jakiem sprawozdaniu, napisanem przez prostego tylko członka, a tem samem zjednać sobie sławę. Twórzmy więc prezesów! Oto chodzi tylko, byle nie błądzono tak jak dziś, tj. byle nie obierano panów Filipów, jak mówi pan Sylwester, lub byle nie pomijano panów Fabrycyuszów, jak woła ze łzami prawie w oczach pan Konstanty.

Pan Sylwester, prezes czterech czy pięciu już stowarzyszeń, kończący się na e r, ale jak mawia pod sekretem, urodzony na prezesa, umiał się zręcznie zaaklimatyzować na Pokuciu; umie — gadać po rusku, chociaż jeszcze na pamięć nie przeszedł całego abecadła, i dla tego obstaje za używaniem łacińskich głosek do ruskiego pisma; umie serdecznie układać się w naiwnie popularnego, brawurą, konceptem, nie zawsze świeżym ni własnym zjednywając sobie serca odwiedzaniem różnego rodzaju mieszczan. — Jego wyrazem twarzy jest uśmiech. Śmieje się do wszystkich i ze wszyskiego: gdy mówią w obec niego, powtarza zawsze z uśmiechem ostatnie słowa mówiącego; chwali talenta niedojrzałe lub zapoznane, ściska pokryjomu dłonie malkontentów... i poświęca się, aby tylko utrzymywać w tym zakątku górskim jakie takie życie... — „Gdyby tu mnie nie było, no! to powiedzcie panowie, mawia do pijących jego wino gości — ale powiedźcie bez pochlebstwa, czyby się tu było zawiązało jakie stowarzyszenie?

— ›Ale — nigdy w świecie!‹ wołają wszyscy. —

Niech żyje nasz pan prezes! — Niech żyje! Mnohaja lita! i t. d.

Pan Sylwester, (o którym nie mówimy ile klas ukończył, bo to do rzeczy nie należy) potrzebuje zresztą prezesostwa do własnego kredytu, bo na osobistym kredycie polega kredyt krajowy, a dobro kraju leży panu Sylwestrowi na sercu... Wiedząc zaś ile znaczy w kraju naszym opozycya, i jak popłaca pisuje czasem opozycyjne korespondencyjki, podpisując się całem nazwizkiem dla redakcyi, ale na własne swoje płody nie szczędzi słów klątwy i szyderstwa tam, gdzie opozycyi nie uznają. Dla obalenia i zachwiania stowarzyszeń, których nie jest prezesem, pan Sylwester gotów jest dopuścić się nawet — sromotnej hańby — byle okazać światu, że towarzystwo, któremu on nie przewodniczy — istnieć nie może. —

Oto Prezes!

A jakiż pan Filip? — O tego nam tu niechodzi... Wszyscy na niego... On sam, mimo, że go obrano, nie jest p r e z e s e m podług naszego portretu... Takich u nas na Pokuciu nie wielu... Cicho siedzi i nie żąda rozgłosu; więc mu dajmy pokój... Tu do nas należy jeszcze pan A t a n a z y... także p r e z e s. Oto nad nim musimy się trochę dłużej zabawić. Jemu właściwie należy się tytuł tego pierwszego obrazka z Pokucia.

Najprzód trzeba wiedzieć, że to jest ofiara losu i poświęceń (mniejsza o to jakich). On, który jaśnieć i błyszczeć winien w stolicach... (mamy bowiem teraz aż cztery stolice... Kongresówka zadowalnia się jedną, Wielkopolska jedną, w Galicyi musi być aż dwie dla tego, że się najbardziej rozumie na autonomii)... On ozdoba płci brzydkiej i salonów... on posiadający tytułów i cygarniczek więcej, aniżeli namiestnik warszawski — orderów, nienawistną dłonią ironicznego losu wygnany do małej powiatowej mieściny na Pokuciu — na pokucie biedak siedzi, aż się dostojna krew jego ścina w żyłach bardziej obrażona tem wygnaniem, niż redakcya Kraju listem otwartym pana posła, który to list przeczytał całkowicie pan Atanazy, ruszając ciągle ramionami i szepcząc: ›Gdzie tu u licha te błędy?! kto ich tu 104 doliczy, kiedy ja nie widzę żadnego... ›Pan Atanazy ofiara losu, nie został jednak zapoznanym, że się tu wbrew gramatyce pana redaktora ›Szkoły‹ wyrazimy tem słowem; i w małej mieścinie na Pokuciu znalazł znawców swego geniuszu, ukrytego w długich paznokciach, i dużej złotej dewizce, znalazł wielbicieli swego dowcipu i gustu kamizelek — i ubóstwiaczy swej kawalerszczyzny i powiatowej skromności — a szyku. Któż bo śmie powiedzieć w którem bądź kasynie głośno, że pan Atanazy agituje za sobą? że sam zbiera głosy przed wyborami?..

Nie ma takiego złośliwego, chociaż i w tem miasteczku, o którem mowa, mieszka korespondent do pewnego opozycyjnego organu. Jeżeli Pan Atanazy ma przyjaciół, to ich ma za swoje — przymioty. Jeżeli głosowano na niego na prezesa, to tylko dla tego, że właśnie ci przyjaciele agitowali za niego. On ich o to nie prosił, — to fakt. A co tam paple pan Sylwester, albo pan Konstanty — o to mniejsza, to się wszystko o bożą mękę rozbije... A kiedy? — zobaczymy. Dość, że pan prezes jest prezesem! mniejsza o stowarzyszenie. Główna rzecz p r e z e s: kiedy prezes jest — mamy już i stowarzyszenie. Prezes jest a l f a i o m e g a stowarzyszenia, od niego wszystko zależy. — I jakże się tu dziwić, że w obec powodzi stowarzyszeń — o których tu się nie pisze — jeno o ich prezesach na Pokuciu — ludzie będący już z rodu a l f a i o m e g a kraju, ubijają się o ujęcie w ręce tego abecadła rozwoju i cywilizacyi narodowej! — Nie dziwimy się też wcale, lecz wypowiadamy stanowczo i śmiało to spostrzeżenie nasze, iż na Pokuciu jedna dopiero myśl postępowych idei naszego społeczeńskiego rozwoju dojrzała; myśl tworzenia i obierania — prezesa... Sumiennie powiedzieć możemy, iż mamy prezesów wielu... ale prawdziwych stowarzyszeń bardzo mało. Z rozsiewanych idei postępowych przyjęła się tutaj ta tylko, która nasyciła próżność wyszczególnienia się w powiecie. — Mniejsza o to, jakim kosztem... B y ć p r e z e s e m! to hasło najnowszej epoki naszych dziejów... umieć się kłaniać, jak prezesowi przystało, umieć zagajać walne zgromadzenia — po prezesowsku nie na wszystkich bywać zgromadzeniach — podpisywać się choćby niegramatycznie, byle nieczytelnie i z ogromnym zakrętem, tolerować i szanować głosy znajomych sobie popleczników... dzwonić zgrabnie złocistym dzwonkiem — szastać na wszystkie strony ukłonami i torebką przygotowanych komplementów i frazesów... odwoływać się na autonomię, błogie czasy, których nam Bóg dożyć pozwolił pod berłem austryjackiem — mieć od popotrzeby kontusik i pasinę słucką, choćby imitowaną,

być okazałym, majestatycznym w ruchach — okazywać wstręt do wszystkich tytułów (gęba) i mieć ciągle na ustach frazes: «Ja panie do szeregu tylko!... Ja chcę służyć krajowi tylko jako szeregowiec. Wszystko zrobię chętnie, byle mnie żadnym nie obarczono urzędem, (rozumie się żadnym innym byle nie prezesowskim). Wydać czasem herbatkę ot tak przyjacielską, i zaprosić na nią kilku takich, którymby się na ulicy... gdyby n. p. szedł z daleka pan starosta — ręki nie podało — a nadto jeszcze wołać i krzyczeć o jedność z braćmi Rusinami i o braterstwo z ludem — a po cichu ruszać ramionami i ubolewać nad głupotą wieku, obalającego tradycye dawne, zakorzenione w sercach i konieczne i nigdy nie mogące być obalonemi — tolerować wyznania, bodajby przyszło uścisnąć się z żydem i pocałować go nawet z konieczności w buzię... a po cichu w ciaśniejszem kółku mówić na starę nutę: Żyd zawsze żydem — nigdy nie wierzę, aby to miał być taki człowiek, jak my... głośno szanować wszystkie stany, być demokratą, demagogiem — gdzie potrzeba i Mierosławczykiem nawet — oto zadania do popisu na prezesa. Kto je rozwiąże otrzyma patent, dopnie swego — będzie prezesem — osięgnie alfę i omegę postępowych idei, a reszta abecadła złoży się sama — bo też i na prawdę o nie mniejsza. Nie o to tu chodzi... Myśmy tu jeszcze nie facy, jak wam się zdaje, a jacyśmy?.. zobaczymy w dalszych obrazkach.

Tak tu u nas na Pokuciu!

Czy inaczej tam u was?.. Daj Boże, aby tylko nie było podobnie.

Tymczasem zaś wymyślajcie na miłość Boga jakie nowe stowarzyszenia dla nas! dla naszych prezesów! Nam tu potrzeba jeszcze kilkanaście stowarzyszeń — bo gotowych urodzonych prezesów czeka już kilkunastu. — I oto właśnie świeżo dwóch z nich urządza u siebie M a j ó w k i n a r o d o w e, na których będą mowy o potrzebie stowarzyszeń, rozumie się, że to znaczy: prezesów. Kilka stowarzyszeń może wkrótce upaść będzie musiało dla braku c z ł o n k ó w zwyczajnych — bo tych tutaj istotny brak czuć się daje — ale prezesów mamy dość... prezesów nam nie braknie. — —

D. c. n.

Do
Stanisława Szczepanowskiego.

(Improwizacya).

Dzielny miał smyk; szablę starą
Grał nią po moskiewskiej skórze —
Potem wędrował z gitarą —
Oklasków podnosząc burze. —

I cóż taki mistrz zarobi?
Po cudzych nie pnąc się karkach —
Krzyżyk jego piersi zdobi,
Krzyż wielki dźwiga na barkach, —

Rozbitek — któż nie rozbitkiem?
Kiedy ojczyzna w rozbiciu —
Cześć Tobie! ten żył z pożytkiem,
Kto takie krzyże miał w życiu. —

Kornel Ujejski.

Kronika Czerniowiecka.

(Y) Niechcielibyśmy na wstępie rozwodzić przed czytelnikiem gorzkich żalów i zapewniać go, że letnia pora jest wielką s t e a p l e c h a s e dla kronikarskiego pegaza, gdyby nie fatalne nasze położenie, że nie zkądinąd tylko właśnie z Czerniowiec puszczamy w świat niniejszy produkt «fejletonowego humoru.» Jeżeli nasi koledzy z większych miast żalą się i lamentują na brak «m a t e r y a l n e j i n t u i c y i» natchnienia v u l g o konceptu — cóż dopiero pozostaje nam oddalonym tylko o pół mili od Sadagóry, nie weselącym się lodomeryjską k a t o ń s z c z y z n ą Maliszów i spragnionym rozkosznego widoku tej artystycznej w a t y, która stała się dźwignią narodowo-demokratycznej sztuki czyli r e c t e kunsztu olśnionego wspaniałością cebulkowo-pietruszkowych promieni nadpełtwiańskiej Irydy?

Gdyby «Ogniwo» było rok wcześniej ujrzało światło dzienne, nie bylibyśmy bynajmniej w kłopocie, gdyż przed rokiem było u nas inaczej — było wesoło i przednio, bo wówczas i my mieliśmy p. Miłaszewskiego i my błąkaliśmy się m a n o w c a m i d e m o k r a t y c z n e j A r k a d y i. Gdzie ta kronikarska Kalifornia? gdzie te słodkie czasy? niestety minęły! czy wrócą kiedy? nie wiemy. Piękna grupa «t r z e c h g r a c y j z n a d W i s ł y» nie kompletna, a kto wie czyli z czasem nie będzie jeszcze bardziej uszkodzona, p. Miłaszewski nie jest jeszcze dotychczas tak bardzo pewnym, że na przyszłe sześć lat zaarenduje gmach Skarbkowski — śród takich smutnych auspicyj któż zdoła odsłonić jak się wyraża w jednym z swoich programatów przyszłości dr. H. Jasieński «t a j e m n i c z e f i r a n k i a l k o w y.» Ukołysani słodziuchnem tem wspomnieniem, nie możemy nie zawołać entuzyastycznie z niemieckim poetą:

Da ihr noch die schöne Welt regiret
Schöne Wesen aus dem Fabelland,
Wie ganz anders, anders war es da!...
Wo jetzt ach, mit sauerem Behagen
Der Sportsman leider kaum zu Fuss sich dreht,
Rollte damals seinen Kutschierwagen,
Helios in bunter Majestät.

i nie uronić zarazem kilku serdecznych łez nad niedaleką przyszłością, która tak niepospolicie zaalarmowała naszą stolicę, tak poetycznie nastroiła niektóre młodzieńcze umysły do emigracyjnych przedsiębiorstw. Za to teraz episerski spokój w całej pełni rozpostarł swoje skrzydła nad Czerniowcami — pusto i głucho, mimo, że na ulicy szwargot i gwar więcej hałaśliwy i bardziej jeszcze nie harmonijny, niż którykolwiek z koncertów bukowińskiego musikvereinu, którego artystycznym kierownikiem jest farny ex-organista p. Zwoniczek. Doprawdy usnęlibyśmy na dobre, gdyby od czasu do czasu nie pojawiały się meteory, które choć na chwilę przerywają monotonną ciężkość «der spiessbürgerlichen Gemüthlichkeit» i «podporządkowują» ją czasami żywszym wrażeniom. Takim meteorem jest «Ogniwo.» Już sama myśl wydawania polskiego czasopisma w Czerniowcach, myśl umysłowej pracy na polu narodowem znalazła u nas spory zastęp przeciwników — byliśmy wprawdzie przygotowani, że szanowna «Czernowicerka» i w ogóle cały prozelityzm kultury uwidomionej przez rozmaite «vereiny,» będzie nam niechętny — jednakże nie spodziewaliśmy się nigdy, że znajdą się na Bukowinie Polacy, którzyby rozmiłowani w dotychczasowem *dolce far niente* z prawdziwie lazarońską gnuśnością potępiać mogli nasze usiłowania i z niechęcią spoglądali na pracę słowa polskiego; tymczasem mimo przykrego zawodu, mimo niechętnych «kulturtregerów,» powstające «Ogniwo» nie da się zrazić żadną niechęcią, żadnem chwilowem niepowodzeniem, tylko ufne w potęgę słowa polskiego, ufne w świętość sprawy, której służyć pragnie — stać będzie wiernie przy sztandarze narodowym.

Dając odprawę wyznawcom zasady «o pieczonych gołąbkach, które same wpadają do gąbki,» wpadliśmy na ton poważniejszy i nie właściwy kronikarzowi czerniowieckiemu zróbmy więc kiksa i wróćmy do rzeczy wesołych. Cóż, kiedy znowu na tem polu popełnił względem nas wielką niedyskrecyę szanowny lwowski kronikarz Gazety narodowej, biorąc nam «z przed nosa» poetę rymarza, który na nutę *«solche welche, welche solche»* wydzwonił w języku cywilizatorskim dla wiekopomnego utrwalenia zgody Polaków z Niemcami, kilka utylitarnych pieśni nazwanych *«Concertlieder»* wprawdzie arcygenialnych, ale tak nie ortograficznych, że nawet organista ze wsi, mógłby uchodzić wobec tej pojednawczej muzy, za wyrocznię gramatyczną. Mamy tu na myśli czerniowieckiego wieszcza p. Kulickiego; niestety jest on obecnie dla nas martwą literą, ponieważ po dokonanym przez «kronikarza lwowskiego» zamachu na jego nieśmiertelność utonęły wawrzyny naszego wieszcza w ciemnej Erebu otchłani, a my konstatując smutny ten fakt piszemy na tem miejscu nekrolog rymarskim płodom... i znowu wpadamy na smutny temat!... czyliż nawet p. A. K. *«prediger der freien deutschen Gemeinde»* nie potrafi nas rozweselić swoją tragiczną miłością?

P. A. K. cywilizowany Słowianin, który z czasem stał się *predigerem* i niemieckim *literatą* o długiej brodzie i melancholijnych kędziorach spadających na ramiona — rozgorzał miłością dla pewnej panienki, miłością płomienną, szaloną, jak pewna żądza pochodu *«nach Osten»*; tymczasem mimo hojnego expensu najszlachetniejszych uczuć, mimo nalegających błagań i uznania godnej chęci poświęcenia ideałowi nieśmiertelnych swoich prac literackich, mimo quintessencyi nadludzkich usiłowań zdobycia *«des anmuthigen Herzchens des innigst geliebtesten Täubchens»* — panienka miała serce kamienne i nie była wzajemną p. predigerowi — ona mu była *«nie orfejska skała»...* jaszczurka!... P. prediger bolał, cierpiał długo, bardzo długo, aż w końcu pewnego pięknego poranku, kiedy miał już dosyć i przekonał się niestety, że służy swojej najukochańszej za przedmiot — pośmiewiska, zapłonął nagle świętem oburzeniem, a ponieważ był *literatą*, więc siadł do stolika i jednym natchnionym zamachem wieszczego pióra porodził arcydzieło pod apokaliptycznym napisem, który tu dosłownie przytaczamy: *«Zum Abschluss gelangter Geberden-Roman — wie es deren an sich wohl nicht wenige giebt — wie sich jedoch selten wohl einer von denselben mit diesem — übrigens unmassgeblichen — Abschluss ereignet.»*

Gdyby p. A. K. nie na Bukowinie, ale w jakim innym koronnym lub niekoronnym kraju był popełnił swój *Geberden-Roman* niezawodnie większą byłby sprawił senzacyą, aniżeli u nas, których pewny *capitanul* i sam wybierający się *exdelegat delegacyi* przyzwyczaił swojemi *alokucyami* do podobnie *lapidarnego* stylu.

Heroiną tego *mimicznego romansu* jest, jak się łatwo domyśleć można ex-ideał autora sponiewierany, stracony z wyżyn wałbalicznego świata na poziom — kokieteryi i przygnieciony nadto cetnarowem brzemieniem *exorcyzmatów* miłosnych.

Rzecz jak widzimy bardzo poważna. Możemy zapewnić każdą młodą i skromną panienkę, że ten *«Zum Abschluss gelangter Geberden-Roman»* nie jest *«dwuznacznym»*, tylko klasycznie z nieklasycznego materyału wykutym owocem miłośnej goryczy i smutnego doświadczenia — przeto bardzo pouczającem dziełem i zarazem niezbitym dowodem tego, co autor powiada w założeniu:

«Wer mit Feuer spielt sich, verbrennt sich,
Foppend sich', dass du nicht gefoppt bist.»

Do jakiej zaś demonicznej siły własnego poczucia dochodzi autor w dalszej expektoracyi niech świadczy o tem następujący, dosłownie przytoczony ustęp:

«Ich bin gewissen Tugendheldinen — ich bitte nicht zu lachen — ein Hamlet, wenn er ihnen, Hinter Glas und Rahmen gebunden sein, Klöster und Keuschsein wie

Eis anräth — wünscht; ein Faust, wenn er die Fluchscene desselben vorträgt!!!...«

Przez cały ciąg tej narracyi wybucha pan K. w *«apostrofy hexametrowe«* żółci i goryczy, właściwej wzniosłym a zranionym sercom, podobnie, jakby to powinien uczynić J. W. poseł kołomyjski, gdyby po niesłychanej niedyskrecyi obliczającej z wszelką ścisłością błędy ortograficzne nawet w *manifestach* mężów stanu, ujął za pióro i napisał utwor bajroniczny p. n. *»Parlamentarischer Gebrechen- und Geberden-Roman eines robusten Grafen und gefährlichen Duellanten«.*

Któżby sądził, że znajdzie się w naszem «księstwie» profan i to pomiędzy «kulturnikami», który nie owijając w bawełnę jednem tchnieniem palnie w formie *»epigramu«* całą kopę łżących słów i poświęci ten bukiecik pełen wdzięków i woni p. K.?

A jednak znalazł się taki profan, i jeszcze w dodatku «Czernowiecerka» kamienując własnych proroków użyczyła miejsca w swoich szpaltach autorowi epigramu, któremu znowu nasz autor poetycznie zelżony wytoczył proces o zamach na życie, wykazując dowodnie w akcie oskarżenia, że kto łży, ten w dalszej konsekwencyi bije — a kto bije, ten zabić może, a ponieważ epigramacista łży geberdenromaniste — więc wynika, że życie ostatniego jest zagrożone utworem pierwszego literaty.

Widzimy ztąd jasno, jak tragicznie — bo zamachem na życie kończy się miłość, jeźli nieczuła kochanka wyśmiewa swego Adonisa. Obok wielkich koryfeuszów pióra à la Kulicki i A. K. dzierży na polu dziennikarskiem i beletrystycznym wszechwładne berło edyktów szanowna *Czernowiecerka;* nie potrzebujemy zapewniać czytelników, że to stworzenie jest wielce wykształcona i bardzo dowcipna matrona — szczególnie imponuje swoim czytelnikom bardzo starannie redagowana rubryką p. n. *Intelligenz-Blatt,* a traktująca z wielką doktryną... — *inseraty* — i fejletonem, w którym przed niedawnym czasem czytaliśmy traktat bardzo uczony a ciągnący się przez dziesięć numerów «o wpływie kapłonów na rozwój kultury na górze Chimborasso.«

Niwa lokalnej niemieckiej literatury kwitnie więc w najlepsze; niemniej *łamane i nadobne sztuki* rozwijają się w niepospolitym stopniu. — Melpomenę okulbaczył jak wiadomo p. *Zwoniczek,* nasz znany organista; — gimnastyką kieruje dr. *Rott* i inne znakomitości z turnratu; — teatr niemiecki pielęgnuje p. Modrzejewski w spółce z pewnym arendarzem propinacyi miejskiej i t. p. Doprawdy, że nie wiele brakuje, żeby nasze poczciwe Czerniowce nie przeistoczyły się w nowoczesny Weimar!

Józef Fedkowicz.

W obec Węgrów, szczycących się bardzo słusznie swoim narodowym poetą Petöfim, który najpiękniejsze i najwznioślejsze poezye tworzył śród marszów wojennych swego pułku — i Ruś może się także poszczycić swoim piewcą żołnierzem, który znowu rodzajem swych pieśni i historyą bolesnego życia bardzo się zbliża do narodowego poety *Tarasa Szewczenki.* — Józef Fedkowicz żyje po dziś dzień na Bukowinie. Wierny zasadom i ideom wypowiadanym w swych poezyach (z których podamy później kilka przekładów w «Ogniwie«) po zmiennych kolejach losu osiadł pomiędzy ludem, a przywdziawszy strój huculski na siebie, stał się i strojem podobnym do tych ludzi, których prostotą i miłością ojczystą zawsze był przejęty.

Ażeby szanownych czytelników poznać bliżej z tą godną ze wszechmiar znajomości — osobistością, przytaczamy jego autobiografią zamieszczoną jako: «słowo ot izdatela« w książce J. Fedkowicza wydanej we Lwowie 1863 p. t. »Poezye.«

«Urodziłem się r. 1834 na Bukowinie w wiosce Storowiec nad rzeką Putyłówką w powiecie putyłowskim pomiędzy Huculami, gdzie moi rodzice nie małe gospodarstwo prowadzili. Matka moja była przedtem za księdzem (prawosławnym) we wsi Storonice — a owdowiawszy poszła za mego ojca, który przybył z Galicyi, i żyli z gospodarstwa, które im wystarczało, aby mego starszego brata Jana i mnie do szkoły posyłać. A było nas wszystkich pięcioro dziatwy: dwaj bracia i trzy siostry. Starszy brat Jan powróciwszy ze szkół był na miejscu ojca gospodarzem, a oraz deputowanym na sejm wiedeński razem z Kobylicą, o którym może co wiadomo. Starsza i młodsza siostra były w domu, średnia zaś wydana za księdza T. daleko od domu, niebawem umarła. Tak żyliśmy sobie szczęśliwie nim nadszedł nieszczęsny r. 1852, który naszę rodzinę unieszczęśliwił, a nas sieroty po szerokim rozproszył świecie.

Moje obie siostry pomarły z żalu i tęsknoty za starszym bratem. Gdzie on się obecnie obraca, o tem dotąd nie wiem, pochowawszy bowiem siostry, udałem się w kraje naddunajskie, szukać chleba — soli i nie słyszałem odtąd nic o domu.

Tyle o moich rodzinnych stosunkach, a więcej i nieradbym mówić; lecz co się mej osoby tyczy, to pogawędzę swobodniej, o sobie bowiem zawsze otwarcie mówić zwykłem — mnie nic nie wiąże, jak tylko mój stan i mój charakter a obydwa nic odemnie nie wymagają jak tylko żyć i umierać z honorem. Czy ja Rusin czy ja nie Rusin, czy ja śpiewak czy nie śpiewak, tego pod białym mundurem nie poznać i o to się nikt nie pyta, wszakże pod działa i pod karabiny każde serce dobre.

Gdy byłem w Mołdawii, dał mi Bóg tyle szczęścia czy może i nieszczęścia, że zapoznałem się z pewnym sławnym niemieckim malarzem R., który mną się zajął... i tak polubił, że mię całą siłą nie tylko z niemieckim językiem i poezyą, ale i hiszpańską mową i jej gorącą poezyą obznajomił. Cała dusza tego niepojętego a dla mnie wielkiego męża, była czystą, prawdziwą poezyą; on

i moją duszę nią tak nasycił, iżby żadne mocy piekielne tego cudownego skarbu wyrwać mi dziś nie zdołały. O miły Boże, gdyby nie był nadszedł ten złowrogi rok 1852, w którym mię do wojska oddano nie byłbym dziś tu tak tęsknił w Siedmiogrodzie między hardymi Madiarami, i nie rozłączył się z serdecznym malarzem i jego szlachetną żoną, w których domu żyłem szczęśliwie i przyjemnie poświęciwszy się nauce i poezyi!

Jak spędziłem pierwsze miesiące służby wojskowej, tego opowiadać nie będę, bo to odgadniecie sami. Pomału jednakże przyzwyczaiłem się do mego stanu, który dla mnie także nie był bez pewnego uroku. Starsza siostra moja umiała bez liku tych naszych ruskich narodowych pieśni, dum i opowiadań (u nas w domu naturalnie tylko po rusku mówiono), a ponieważeśmy się nadzwyczaj między sobą lubili, więc też ja będąc chłopczyną wciąż tylko przy niej się bawiłem i wszystkich tych dum i pieśni od niej się nauczyłem. Nie myślała zapewnie luba moja siostrzyczka wtedy, że te pieśni i opowiadania mnie nieraz od niejednego kija i zniewagi ochronią.

A jednakże tak było. Koledzy bowiem moi, bukowińska i czortkowska młodziez, za moje śpiewanki tak mię polubili, że byliby każdego w kawałki rozdarli, któryby jedno pogardliwe słówko na mnie był powiedział. Zdawałoby się, że z temi pieśniami i dumami duszyczka mej siostry, jak dobry anioł-stróż skroń moją od wszelkiego złego ochraniała. Jeszcze dziś błogo wspominam te lube wieczory, kiedy bywało pod koszarami przy świetle księżyca otocza mię bracia... a ja im śpiewam tak, że niejednemu czasem łzy po twarzy się potoczyły — a gdy się dosyć naśpiewam, to prawię im lub opowiadania siostrzyne lub mówię im o wędrówce mojej po Wołoszczyznie, Serbji i Ukrainie... Lecz niestety, te wieczory nie długo trwały, zacząłem bowiem przechodzić powoli wszystkie stopnie wojskowe począwszy od g e f r e i t e r a aż nareszcie w kampanii r. 1859 zostałem oficerem.

Wróciwszy r. 1859 z Włoch do Czerniowiec, poznałem się tam z niemieckim poetą profesorem Neubauerem. Jemu przeczytałem moje niemieckie dumki, pisane jeszcze w Moldawii, i ten znowu tak mię pokochał, że ofiarował mi wstęp gościnny w swój dom.

Profesor Neubauer przeczytawszy niektóre moje niemieckie przekłady ruskich dum narodowych, nie mógł się dowoli nalubować w słodkiej woni naszej poezyi.

Znajomość moja z p. Neubauerem dała mi wstęp w jeden szanowny dom w Czerniowcach. Tu poznałem się z p. A. K. alumnem prawosławnym, który usłyszawszy raz deklamacye moich niemieckich wierszy, zagadnął mnie, czemu ja będąc z rodu Rusinem po rusku nie piszę. Ja na to odpowiedziałem: «chociaż po rusku nie piszę, jednakże słowiańska a osobliwie rusko-narodowa poezyę bardzo wysoko cenię a na dowód, że i po rusku już coś pisałem, zaglądnij pan w mój dziennik tegorocznej kampanii, w której — w pewnej bujnej godzinie w obozie pod Casano odważyłem się i na jednę ruską dumkę». I pokazałem mu mój «Nôczlih».

Ta dumka, (pewnie bez wszelkiej poetycznej wartości), panu K. tak się jednak podobała, że mnie prosił, abym koniecznie kilka dumek do jego broszury *«Słowo na słowo do redaktora Słowa»* napisał, co też uczyniłem. Dodawszy do tego jeszcze przekład hymnu narodowego i kilka śpiewek przezemnie ułożonych, kazałem to wszystko wydrukować i rozesłałem między moich ruskich mołojców — wojaków, którym tyle słodkich wspomnień winien jestem.

Ledwie to uczyniłem, aż tu każą mi maszerować znowu (1861) do Siedmiogrodu. Zachorowawszy w skutek marszu zimowego i przykuty do łóżka pisałem te dumy, które Wam posyłam.

Wszystkie moje poezye oprócz epicznych, smutek przygniótł a to może dla tego, że nie czuję się w moim stanie szczęśliwym... Ładny to stan — prawda — i grzech byłoby uskarżać się, bo starszyzna mnie poważa a żołnierze mnie szalenie lubią, ale cóż? serce śpiewaka dziwne, wciąż go ciągnie w swoje kraje i między swoich ludzi. Tak więc w Bogu nadzieja! Ruska ziemia szeroka a nie zechce mnie Galicya, na Ukrainie wszystkiego podostatkiem — powiada jedna pieśń. A ja jeszcze młody i umiem biedować; na kawałek suchego chleba i krótki huculski sierak jeszcze sobie zarobię, a nie zarobię, to wyśpiewam, bo nie zapomniałem dotąd tych cudnych siostrzynych pieśni, któremi wyciskałem przy księżycu łzy braciom mołojcom.»

Pierwsze prace Józefa Fedkowicza drukowane były w r. 1860 w broszurce Kobylańskiego: *a) «Słowo na słowo do redaktora Słowa»* w fejletonie Słowa z r. 1860. *b) »Praznyk w Tahowi«.* Dzieło, z którego podajemy tu wyciąg nosi tytuł: *»Poezyi, czast' perwaja«* dzielą się na *1) dumy i spiewanki; 2) Ballady i opowiadania.* Lwów 1861. W Kołomyi u B i ł o u s a wyszły 2 tomiki *Poezyi.* — Drobne poezye zamieszczał Fedkowicz: w W e c z e r n y c i a c h 1862 i 1865 r. i w M e t i z r. 1864.

Ks. A. S.

Zapiski bibliograficzne.

Moskiewskie rządy na Litwie. Nakładem p. Siedleckiego, wyszła świeżo w Krakowie, pod tym tytułem nowa praca znanego i ulubionego autora »Powieści o Horożanie«, »Czarnej księgi« i »Na Irtyszu«. P. Władysław Czaplicki autor tych najdobitniejszych świadectw cywilizacyi i ludzkości moskiewskiej, w nowem tém dziele opisuje straszne zbrodnie, jakich się Moskale dopuszczali i dopuszczają po dziś dzień na Litwie. Polecamy to dzieło do odczytania wszystkim, w których sercu nie wygasła pamięć srogiego prześladowania Moskwy — jako też i tym, którzy w swej naiwnej dobroduszności pytają się a pytają ciągle: Czego chcecie od tej Rosyi?!...

Posłanie do Polski, Seweryna Goszczyńskiego. Milczący długo wieszcz, który po »Królu Zamczyska« żadnym, (prócz przekładu Roberta Dyabła, wydanego w Warszawie u J. Kaufmanna) nowym utworem nie odświeżył niezgasłej czci ku sobie

w naszych sercach, posłał do Narodu na rok nowy 1869 z swego wygnania niby odzew na tę nie gasnącą cześć i pamięć w ojczyźnie. Piękne, wzniosłe, pełne namaszczenia, niezastygłej i niezagojonej rany w sercu Polaka są tu ustępy... Czemuż jednak rażą nas te zwroty, które nie z natchnienia niebios, lecz z ukazu mistrza Towiańskiego wypłynęły? Myśmy przywykli uważać autora »Sobótki« za bezpośrednie narzędzie Boga — a nie za narzędzie frymarczącego zaślepieniem słabych... człowieka. Szkoda! — wielka szkoda!

El...y — Jan Stożek. Tym podwójnym pseudonimem zakryty autor zaczyna na prawdę swemi utworami zajmować ogół czytelników, i co nadewszystko — koła naszych krytyków. Poezye jego wydane u Karola Wilda we Lwowie — to istne perełki uczuć i fantazyi, wdzięczne formą i poprawnością języka — a zdolne urokiem i siłą pewnego rodzaju sarkazmu, który im dodaje tylko powabu i interesu. Tegoż autora: »Gałązka Heliotropu« (przedruk z »Dziennika literackiego«) komedyjka w 1 akcie wierszem oryginalnie napisana wielkiego doznała powodzenia na scenie krakowskiej, chociaż tylko przez amatorów odegrana. Wdzięczna, płynna i gładka forma wiersza w tym utworze nadaje jej wyższą artystyczną cechę, chociaż treść zwyczajna i nie wyszukana. W panu El...y witamy wielce utalentowanego i oryginalnego poetę. Talent jego przeważa, o ile dotąd wnosić możemy — w sarkastycznej poezyi, do którego to twierdzenia daje nam także po części prawo zamieszczana w Odcinku kraju, jego komedja dwóaktowa (prozą) p. t. »Walka stronnictw.«

Towarzystwo historyczno-literackie paryskie — w skutek ogłoszonego przed dwoma laty konkursu (1200 franków) za napisanie rozprawy historycznej: O przyczynach słabości rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach (XVII i XVIII) — nie doczekawszy się nadesłania żadnej rozprawy, uwieńczyło drugą nagrodą (600 fr.) uznane za najlepsze historyczne polskie dzieło w ostatnich dwóch latach wydane, p. Kalinki, »Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.« »Dziennik literacki« zamieszcza (Nr. 22, 23, 24) sprawozdanie z tego wyroku Towarzystwa liter. hist. parysk. — a »Mrówka« w Nrze 17 podaje list. p. Al. W. z Paryża — w którym wytyka niesprawiedliwość tego wyboru. Nie orzekając w tej mierze stanowczo naszego zdania, czekamy sądu poważnych naszych krytyków. Wobec prac W. A. Maciejowskiego, Bartoszewicza, Wegnera, Szmitta, Szujskiego, Bielowskiego — tryumf p. Kalinki kazałby nam powitać w nim znakomitość historyograficzną — niepospolitą.

Rusini, powieść A. Maryana. Lwów. Nakładem Józefa Laskownickiego. Jest to rzewny i serdeczny obrazek nader nam bliskich stron i osób... Napisany w najszlachetniejszej dążności, może osięgnąć po części cel — jeżeli w sercach czytelników obudzi pragnienie ogólnej narodowej łączności i zgody, w imieniu której autor jego zacnie szermuje w całej powieści. Rysunkowi brak precyzyi — ale nie brak ciepła i podobieństwa.

Król żołędny, przez J. K. Turskiego, w 1 akcie oryginalnie napisana komedyjka studencka i »Dobosz« w 3 aktach komedyjka ruska, wyszły w Kołomyi u Biłousa. Są to zabawki teatralne, tak zawsze poszukiwane przez młodzież szkolną. Obie napisane stosownie i odpowiednio dla młodocianego wieku, z obydwóch cały dochód przeznaczony na zapomogę funduszu dla biednych uczniów gimnazyum kołomyjskiego. Cena każdej książeczki 10 kr. w. a. Cel — i sama praca wspólnie tu przemawiają za poleceniem wszystkiej młodzieży — nabycia tych miłych zabawek.

Rozmaitości.

W sprawie pogrzebu zwłok króla Kazimierza W.

Zgromadzeni w Czerniowcach na d. 29 czerwca Polacy mieszkający na Bukowinie wybrali z swego grona komitet złożony z pp. dr. Kamila, br. Gostkowskiego, dr. Słabkowskiego, G. Smólskiego, Kislera (izraelity), ks. Dembińskiego i Bronarskiego, któremu poruczono założyć protest przeciwko samowolnemu postępowaniu dotyczących władz krakowskich w sprawie pogrzebania zwłok wielkiego króla — i zbierać pięciocentowe składki na rzecz trumny królewskiej.

»Komitet Kazimierowski« ze względu na naglący czas przystąpił natychmiast do swoich czynności i wysłał na ręce prezydenta miasta Krakowa protest dobitnie napisany, który nie przyznając nikomu prócz narodowi prawa stanowienia w sprawie narodowej uroczystości potępia dotychczasowe postępowanie nie oddające przynależnej czci cieniom twórcy »statutu wiślickiego« i ostatniego króla Piasta, i podaje projekt odłożenia uroczystości obchodu pogrzebowago do listopada 1869, jako 500letniej rocznicy śmierci króla Kazimierza W. —

— Rada Dyrekcyi polskiego towarzystwa bratniej pomocy w Czerniowcach, wydała następującą odezwę do ziomków:

»Niedola braci przybywających do nas z różnych części ziem Polskich a pozbawionych bez własnej winy odpowiedniego utrzymania, była powodem zawiązania Polskiego Towarzystwa Bratniej Pomocy w Czerniowcach.

Dzięki gorliwości rodaków zamieszkałych na Bukowinie, zadanie to zostało już w części osiągnięte, przyniosłszy w krótkim czasie nie jedne ulgę w nieszczęściu. Mimo jednak gotowości do ofiar jaką tutejsza ludność polska objawiła, a o której załączone Sprawozdanie z Ogólnego Zebrania najlepiej przekonać może, wpływające fundusze nie mogą zadość uczynić coraz liczniejszym potrzebom.

Mając więc powierzoną sobie opiekę nad interesami Towarzystwa, czujemy się w obowiązku wezwać Was Szanowni rodacy w Galicyi, jako też w W. Ks. Poznańskiem, do współudziału w usiłowaniach naszych, roszcząc sobie tem słuszniejsze prawo do tego, iż z braku podobnych Stowarzyszeń u Was, niesienie pomocy nieszczęśliwym braciom, przeważnie nam się teraz dostaje w udziale.

Rozmiaru darów nieoznaczamy, a zostawiając wysokość ich chęci i możności każdego, oświadczamy zarazem, iż najskromniejszy datek z wdzięcznością przyjmujemy.

Silni przekonaniem, że Odezwa nasza przez wzgląd na cel który ją spowodował zasłuży sobie w kraju na odpowiednie uznanie, udajemy się do Szanownych Rad Powiatowych, Towarzystw gospodarskich, finansowych, naukowych, i t. d., Zarządów gminnych, kapitułowych, jak niemniej redakcyj wszystkich polskich dzienników, by odbieraniem składek zająć się raczyły, a wszelkie przesyłki wprost do naszego Towarzystwa adresowały.

Prezes: Aleksander Morgenbesser. Dyrektor-Sekretarz: Antoni br. Gostkowski.

Wydawca: G. Smólski. Odpowiedzialny redaktor: E. Młodnicki. Czcionkami J. Buchowieckiego i Spółki.